Lwów 4. Października Nr 118. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek. Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartał. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłate 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

XII.

Polowanie górskie.

(Ciąg dalszy.)

Pan Wolski aż strętwiał na koniu, bo od razu odgadł o kogo tu chodzi. Nic wszakże Kienie o tem nie powiedział, dojeżdżając jeno do wsi, raz jeszcze przyrzekł wziąć go na sanki swoje, i dla tego postanowił z nim razem nocować, tem więcej, że chciałby z nim pogadać. Jakoż długo w noc rozmawiali, a rotmistrz pomału dowiedział się różnych szczegółów o tych, w których poznać musiał żonę i córkę, szukających go wszędzie.

— I znaleźć muszą! pomyślał w duszy zasypiając. Cóż robić? trzeba nazad wleźć pod jarzmo, które po prawdzie powiedziawszy, dzięki pani z Wolskich Wolskiej niepospolicie było ciężkie.

Lecz mimowolnie myśl jego zwróciła się do córki, którą lat tyle niewidział, i rozbudziła się w nim ciekawość, jeżeli nie inne czulsze jakie uczucie.

Nazajutrz z rana wedle przyrzeczenia odwiedził pana Jacentego, i kupił u niego owe dla starosty przeznaczone rogi jelenie. Lecz się na tem nie skończyło; inne zupełnie, niespodziane zrobił nabycie rotmistrz w chacie pana Jacentego.

Pani prefektowa zaczęła zwyczajem swoim lamentować, narzekajac na los swój, na drożyznę, nędzę, a nawet na biednych dwie córek swoich, które choć kocha, ale niemniej przeto są jej ciężarem, przez samą myśl na ich przyszłość. A panu Wolskiemu, który był stary konesor, wyuczony do tego w szkole starosty Kaniowskiego, wpadły obydwie dziewki w oczko, mianowicie piękna Anastazya; uśmiechnąwszy się tedy, ozwał się:

— A za mąż czemu panny nie idą? takie nadobne.

— A kto dziś weźmie dziewkę bez pieniędzy wielmożny panie dobrodzieju nasz; szlachcic nie chce, a za chłopa choćby najbogatszego człowiek nie wyda za nic, wolałby się dać żywcem pochować! rzekł ojciec z łzą w oku.

— To to prawda!.. Ale byłby może na to sposób. W okolicy Buczacza jest wielki bogaty monaster Czernic; panna Anastazja mogłaby wstąpić do niego. Mam jakie takie związki, to jużbym się postarał o to, by ją przyjęli, a tam byłoby jej jak w niebie. Po roku lub dwóch moglibyście córeczkę odwidzieć w innym już zupełnie stanie.

Zastanowili się rodzice nad tą propozycją, która miarkując po ich oczach dosyć się im podobała. Popatrzali się na siebie i jednocześnie zawołali.

— Żeby się to tam dostać jakoś... ale to droga daleka... a my biedni!

— Mógłbym panienkę wziąć z sobą! odpowiedział rotmistrz z miną poważną i świątobliwą.

— Niech się dzieje wola Boża! zawołali rodzice i serdecznie dziękowali jeszcze staremu wyjadaczowi.

W parę godzin później dziwnego rodzaju fura wyjeżdżała z bramy dworku Podhorodeckich. Na saniach prostych w tyle siedzieli Wolski z Kieną; woźnica prawdziwy bojko, siedział utopiony w rogach jelenich, które mu powyż głowy sterczały. Na przedzie plecami do furmana siedziała panna Anastazya Podhorodecka; a dzik ze zwieszoną po za sanie i ciągle kiwającą się głową grzał nogi podróżnych.

— Deus vos ducat, perducat i reducat, krzyknął za odjeżdżającemi należycie podchmielony Łobeski.

— Oj! dukat! dukat! dukat!... to to dobra rzecz, krzyczał prefekt zataczając się z — rozpaczy za córką zapewne.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Świeży trup w grobach Żółkiewskich.

Musimy się teraz znowu nazad cofnąć i poszukać niektóre naszej powieści osoby, aby razem jakoś dążyć do końca i rozwiązania. Pomiędzy innemi zostawiliśmy całe towarzystwo, z czterech osób złożone, w miejscu na długi pobyt niezbyt przyjemnem, bo w grobach podkościelnych do których wlazła ta zacna czwórka nie bez kozyry.

— To Jakób Sobieski, ojciec króla, leży w tej trumnie! ozwał się Maciej Kręcigęba. Tłuste musiało być panisko za życia. Odważajcie przecie i nie stójcie tak jak rury. Zdrowe drzewo jeszcze! Jakże świecisz Baśko; tażeśmy ciebie dla tego tylko wzięli.

Po długich i wspólnych usiłowaniach otworzyło się wieko.

— Tam do diabła! zawołał Wojciech. Jest druga jeszcze trumna.

— I to aksamitna! dodała Baśka. Ale cóż z tego, kiedy aksamit zbutwiały, już na nic się nie przyda. Popatrzcie no, czy goździki na niej nie srebrne przypadkiem.

— Srebrne czy nie srebrne!... o tem potem!... moja Basiuniu! Teraz rzecz najważniejsza dostać się do środka.

— A jak pachnie ze środka, jakby weselny rozmaryn.

— Tak to z temi panami wielkiemi bieda zawsze!... Za życia biedak ich nie zasmakuje, a po śmierci nawet robak się nie pożywi. Paćkają i mackają ich różnemi tam przyprawami, a na dobranoc brzuch wypchają rozmaitemi ziołami!...

— Jeszcze trochę mocniej!... tędy z prawej strony!... Bru!...

I otwarło się przecie wieko drugiej trumny. Leżał w niej Jakób Sobieski, kasztelan krakowski, doskonale zasuszony, w rodzynkowym kontuszu i litym pasie.

— Jaki zachmurzony! po śmierci nawet. A jaki gruby!... Takiego grubego między cyganami nigdy nie było.

— Wielki to był pan! panie Swalant!... i krajowi dobrze zasłużony.

— Ale przez to trzeba prosić o pas! przerwał Miazga. Jakoż w mgnieniu oka Sobieski został z pasa obdartym.

— A to lita sztuka! aż miło! będą pieniądze za niego! zawołali wszyscy mocno uradowani.

— Będzie za co pohulać! dodała Baśka.

O kontusz i buty odprawiono walną naradę, ale w końcu zostawili je Sobieskiemu, znajdując je nadto już zbutwiałe.

— Aha! to szkaplerz jakiś!... pewnie święty!... może od samego papieża!... trzeba go uszanować!... mówili łotry do siebie, przypatrując się szkaplerzowi, i przez dziwną a właściwą sprzeczność ludzkiej natury, ucałowali go kolejno z wielką pobożnością.

— Zuch za życia, zuch i po śmierci!... bo to i nie cuchnie, i gdybyś go na nogi postawił, toby stał jak żywy. A broda!... jakby dzisiaj golona.... Ale czy uważacie wy, jaki straszny fetor bije tam z tamtej kruchty!...

— Przejdziemy i tam.

— Z tego nie ma co brać! mówił Wojciech, wskazując palcem cynową trumnę w której leżał królewicz Jakób. Pasa nie ma, bo to zwyczajnie z cudzoziemska się nosił, tylko peruka na nim wielka, ale to diabła warta, Jest tam i baran podobno złoty na szyi, ale i z tym trudno się zobaczyć, bo dobrze zalutowany.

I szedł dalej Wojciech, który jako najlepiej znajomy tych miejsc, rejował tamtemi.

— To panie Żółkiewskie, matka i córka.

— Ou wa! nie warto kiwać baby, nic tam na nich uczciwego nie znajdzie.

— A co to za trumna?

— To Wojenkowski! szlachcic i basta. Nic poczciwego na niego nie kładli. Pętlice, fontazie zdobią kontusz, karabela zardzewiała, i nic więcej. Zaglądali tu do niego, jak chowali królewicza, i wtedy już same prawie kości były.

— Chodźmy teraz do drugiej kruchty!

— Tu leży Daniłowicz!... nic już nie ma na nim, bo ktoś przed nami już miał rozum.

— Ja cygan, to prawda, i mój nos cygański nie jedno już wąchał, i nie wymyślny, ale takiego smrodu jak żyję nie wąchałem jeszcze.

— Masz racją panie Swalant! diabelnie śmierdzi!

— Czy nie masz tam Baśko tabaczki w rożku?

— Chodźcie no, chodźcie, to tam od północnego okna śmierdzi.

I przy świetle lichego kaganka, trzymanego przez Baśkę, ujrzeli nagle pod oknem trupa na pół już zgniłego, którego powierzchowność cała okropnie wyglądała. Był to mężczyzna silnej budowy, otyły, który miarkując po ciemniejszych znakach tu i owdzie na gnijącem ciele rozrzuconych, musiał gwałtowną umrzeć śmiercią.

Stanęli wszyscy nad trupem jak wryci, wpatrując się w niego z ciekawością. Najmocniejsze jednakże wrażenie sprawił ten widok na Swalancie i Macieju. Oba z dziwnym wyrazem patrzali na leżącego, i kiwając głowami zadumali się nad nim.

— Ja jutro zaraz pobiegnę do urzędu, ozwała się Baśka, i doniosę o wszystkiem. Kto wie jakie to z tego wielkie rzeczy wykryć się mogą. Oczywiście was nie zdradzę, powiem tylko, że przechodząc koło północnego okna, uczułam wychodzący z niego smród trupa.... Ale wiecie, pewnie tem oknem wrzucili tego trupa, aby ukryć jakąś zbrodnię?...

— Słuchajcie, odrzekł po chwili Swalant, patrząc z pod oka na towarzyszy swoich. Ja bym myślał nie wdawać się w tę całą sprawę.... Ja mam przeczucie, że dla nas może co złego wyniknąć!...

— Przeczucie! zawołali drudzy.

— Przeczucie, powtórzył Maciej, i badawczy wzrok rzucił na niego.

— Wierzcie mi, i siedźcie cicho, mówił dalej cygan. Ja i tak żałuję, żem tu przyszedł.... ja tam nie dbam.... o ten kawałek pasa.

— Ma racją Swalant! dodał Maciej. Lepiej nic nie mówić! co do naszej tu bytności, to ja sam żałuję, ja sam się boję.... a ten kawełek pasa!... niech go djabli biorą....

— Tak! przeciągłym głosem przemówiła Baśka.

— Tak! powtórzył Wojciech.

— Moglibyśmy i zamilczeć!

— Dlaczegeż nie! kiedy wam o to chodzi....

— Ale!...

— Ale!... bo to uważcie.

Po długich jeszcze niby naradach, stanęło na targu. Swalant i Maciej odstąpili swoich części na pasie, a Wojciech i Baśka wymówiwszy sobie po połowie onego, przyrzekli milczeć zupełnie o tym trupie do kruchty wrzuconym.

Po ugodzie godne to towarzystwo zatarłszy wszelkie ślady swojej bytności w grobach i w kościele, wymknęło się cichaczem.

Rankiem, ledwie szósta wybiła, i po raz pierwszy zatętniły dzwony, zwołując prawowiernych do kościoła, a już Dżordżo Swalant włóczył się od domostwa do domostwa, wypytując wszędzie, czy nie przybył tam jaki pan wielmożny z Buczacza.

Czytelnicy obznajomieni z biegiem powieści, łatwo odgadną kogo on szukał.

Jakoż po niedługich pytaniach, cygan przybrawszy minę pokorną i obojętną, pukał do osobnej stancyi gościnnej w jednym z zajezdnych domów.

— Herein! dał się słyszeć głos z środka.

— Aha, to pan cygan, ozwał się znajomy nasz pan Hernek do wchodzącego Swalanta. Cieszy mnie, że pan akuratnie przychodzisz, ale i ja akuratny żem przyjechał. Bo to nie mała rzecz, wyrwać się od tego wiolanta polskiego, ale nie długo to już potrwa; albo on będzie kajdankami dzwonił, albo my będziemy panami.

— To drugie wielmożny panie, daleko lepsze!... cała w tem trudność, aby wynaleźć ciało tego Niegibowicza, którego zamordowawszy tak pochowali, że nie zostało śladu.

— Jakto? i nic dotąd nie wynalazłeś?...

— Ot! jakoś nie można było. Człowiek był goły i głodny, to i głowa była głupia, i trzeba było myśleć o sposobach do życia. Nie było forszusu, niebyło jakoś i konceptu, a tu aby coś takiego wynaleźć, trzeba ludzi, a dla ludzi trzeba pieniędzy.

— No! no! będą i pieniądze wieczorem.... Ot i nie miałem na razie, i chciałem poprawdzie przekonać się.... i przekonałem się, że pan cygan ma dobrą kłódeczkę na gębie, i umie trzymać język za zębami.

— Alboż to wielmożny panie ten jeden sekret wie się na świecie! Oj! oj! gdyby nie moja poczciwość i uczciwość, miałbym ja co opowiadać.

— To bardzo pięknie! 'a więc tedy czekać będę na pana o piątej wieczorem z piwkiem, i.... forszusem. A teraz muszę się przespać bo bardzo jestem zmęczony całonocną jazdą.

W innej znowu części miasta, w znajomem nam pomieszkaniu pod brudną swoją kapą leżał Miazga, i usnąć nie mógł, tak głęboko medytował.

— Swalant i Maciej wyrzekli się pasa, w tem jest jakaś ważna przyczyna. Czas to odkryje, ale i ja nie zaśpię. Będę ja dobrze ich szpiegował.

II.

Zawodna rachuba.

Wróćmy teraz na chwilę do Powiatówki, gdzieśmy zostawili Maxia i Sztroma idących na spoczynek z długiemi nosami i ogromnym fascykułem ciocinych manuskryptów edukacyjnych. Bojąc się podsłuchania rozmawiali obaj panowie po cichu, przyczem Sztrom przerzucał powierzone sobie skrypta, przyglądając się mianowicie jak najtroskliwiej pismu panny Weroniki.

— Ostrokościste litery! ozwał się wreszcie pan Sztrom. Jakieś ogónki i zakręcania szczególne!... a na każdym arkuszu jest podpisana, mądra babina!... patrzno na te podpisy! Dalibóg że to trudne, bardzo trudne pismo.

— Jakto?... albo co?...

— A jużci trzeba będzie w końcu podpisać ciotunię, jak sama nie da pieniędzy.

— Ale!....

— Ale! głupstwo! ot wolisz posłuchać, padłem tu na bardzo ciekawe ustępy. Słuchaj proszę ciebie. Najprzód tytuł pompatyczny: „Myśli Weroniki Grzymalanki Wolskiej, spisane dla ukochanej mojej siostrzenicy, panny Anny Wolskiej, również przez matkę z Grzymałów Wolskiej pochodzącej.” A teraz treść! Słuchaj, bo dalipan pocieszne. „Bają Anusiu dzisiaj o piątej części świata, ale to nie prawda, nie ma jej na świecie, tylko jest cztery: Europa, Azja, Afryka, i Ameryka.” Dalipan kapitalna babina. A to jeszcze pocieszniejsze! „Chociaż w tobie Anusiu krew trzech królów płynie, a zatem przez pierwszych dwóch jesteś kuzyną monarchów francuskich i elektorów Bawarskich nie pysznij się tem, bo Bóg pysznych aniołów nie lubi, a cóż dopiero nadymających się ludzi.” Albo to posłuchaj jeszcze: «Stefan Batory ani się spowiadać mógł przed śmiercią, ani testamentu porządnego nie napisał, ani się też potomstwa z Anny Jagiellonki nie doczekał. Nie chcę przepowiadać, ale upatruję, iż mój kuzyn Stanisław August taki sam koniec mieć będzie, gdyż także za nadto ogranicza wolność szlachecką.“

— Jednem słowem, skończył pan Sztrom, głupia baba ale nie łatwa będzie z nią sprawa. Sam nie umiem się zorjentować, jak sobie jutro postąpimy. Może noc przyniesie mi dobre natchnienie jakie. A to co?... jakieś śpiewy!... to nawet trudno będzie zasnąć.

— To według zwyczaju codziennego śpiewają na dobranoc jeden z psalmów Dawidowych. Ale dzisiaj wybrali

*

jakiś bardzo straszny, i może to przytyk do nas, bo wtorująca Złotkowska nie darmo tak głos wyciąga.

(C. d. n.)

ŁÓDKA.

Z cichej przystani żywota,
Wybiegła łódka sierota,
Spowita pieluchą fali;
Burza strzaskała jej wiosłą,
Na zdradne głębie uniosła,
I rzekła: „Płyń sobie dalej.“

B. B.

NOWE DZIEŁA.

Wycieczki po stokach Galicyjskich i Węgierskich Tatrów

przez Doktora Tripplina.

Są ludzie na świecie, szczególną obdarzeni własnością, że ledwie krok jeden za dom zrobią, zaraz zdybują ich awantury jakieś, jeżeli nie własne to cudze, dla których są prawdziwym magnesem. Do takich ludzi zdaje się należyć szanowny nasz ziomek, którego mnogie prace literackie w tem samem piśmie z rzetelną ocenialiśmy przyjemnością. Najlepszym tego dowodem jest ten jego nowy utwór. Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich, świeżo w dwóch tomach wyszłe z druku, nie są rzeczywiście podróżą po Tatrach, ale spisem rozmaitych wydarzeń sentymentalnych i romantycznych, których p. Tripplin był świadkiem, a nawet wpływał niejako na nie.

Są to nie wycieczki po karpatach, ale wycieczki po różnych tajemnicach rodzinnych, które same podróżnikowi wbiegają w drogę. Jest to szczęście jakiegoby p. Tripplinowi pozazdrościł nie jeden powieściarz, któremu przez całe życie ani jedna nie uda się taka wycieczka, by mu sama do kałamarza wpadła upieczona już cała powieść. Rodzaj ten rzec by można anegdotyczny, autorowi *pamiętników lekarza* właściwy, odbija się we wszystkich wędrówkach jego po Europie odbytych; wszędzie więcej jest wydarzeń osobistych niżeli podróżowych opisów. Nie jest zapewne ten rodzaj bez pewnego powabu, mianowicie dla czytelników łaknących wzruszeń powieściowych; przypomina nieco sentymentalne Jorryka podróże; a dla pięknych opisów i szczególności ciekawych anegdot, przebaczają się nawet osobistości, za nadto może czysto występujące. Rodzaj ten wszakże mniej nas uderzał w podróżach za granicą naszej ziemi odbytych, bo każdą choćby najmniejszą wiadomostkę o krajach mniej nam znanych przyjmowaliśmy z wdzięcznością i upodobaniem.

Nie tak w podróży po własnym kraju, który każdy zna dobrze, a zatem trudno go lada czem zbyć. Tatry są nam doskonale znajome, niema prawie u nas piszącego, który by coś o nich nie wspomniał, ani czytającego, który by coś o nich nie czytał, a i piszący i czytelnicy wszyscy prawie zwiedzali je choć raz w życiu.

Te uwagi tem bardziej na myśl przyjść muszą, że po zamaszystym dosyć wstępie miarkując, równie jak i po poważnem autora powołaniu, spodziewamy się koniecznie jakichsić obszernych, wszechstronnych i gruntownych opisów, ale nie wydarzeń romantycznych, mniej lub więcej prawdziwych, mniej lub więcej prawdopodobnie ukleconych.

O ile takim nadziejom odpowiada autor, najlepiej zrozumiemy przebiegłszy po krótce treść tych wycieczek.

Wyraziwszy nam autor dawną bo od dzieciństwa jeszcze trwającą tęsknotę swoję za naszemi pięknemi Tatrami, wyjeżdza do nich w r. 1848.

Przebywszy kilka mniej lub więcej ciekawych wypadków podróżnych, zbliża się do podnóża karpat. Widok ich robi silne na nim wrażenie, które też oddaje nam kilką mniej lub więcej wymownemi wykrzyknikami. I na tych to wykrzyknikach podziwu i zapału, rozmaicie warjowanych, kończy się właściwy opis okolic jakie odwiedza. Wykrzykniki te są już dosyć zużyte, i nic z nich nowego nie da się wycisnąć ze względu na charakterystykę czy przyrody czy ludu tam mieszkającego, czego by już nam dawno nie opisali mniej romantyczni podróżnicy nasi. Porozrzucane nawet tu i owdzie po książce p. Tripplina drobne rysiki nie tylko że nie są i nie mogą być nowe, ale co więcej opisane są z pewną pretensją, która jakby mgła fantastyczna osłania nieco prawdę, jak n. p. w opisie ubioru goralki, który jest zapewne prawdziwy i bywa taki aż do pończoch i trzewików nawet, ale staranniej już do desek teatralnych ułożony.

Przyjeżdza na dolinę Nowotargską, i odwiedza Harklowę, której dziedzic przyjmuje go jak najgościnniej, bo i otwartem sercem, i otwartemi ramionami, i otwartą piwnicą.

Autor przez wdzięczność zapewne, wymienia jego nazwisko i jego całej rodziny, opisuje szczegółowo i jego synów, i jego córkę, ze wszystkiemi jej zaletami, właściwościami, a nawet romansikiem bardzo czułym, który się później odsłania aż na węgierszczyźnie. Jest to przyjęte za granicą, osobliwie w Anglii, gdzie gazety zapełniają kolumny swoje opisami tajemniejszych wydarzeń rodzinnych. W naszym to wszakże nie jest obyczaju, i nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni; to więc szczegółowe wymienianie nazwisk, jakie się ciągle w tych wycieczkach powtarza, i stosunków rodzinnych, jest zdaniem naszem przykro rażące. Autor bawi się doskonale w Harklowej, z ojcem popija węgrzyna, z córką gra w kręgle, i rozmawia górno-lotnie, przyczem obdarza nas

anegdotką tamże ułowioną, którą nam najnaiwniej zaprawdę podaje, jakoby feldmarszałek Radecki był polakiem z rodu, a nawet kuzynem pięknej Guci, pół pustej a na pół wesołej, i jej gościnnych rodziców. Bardzo by to dla nas było zaszczytnem, ale cóż z tego, kiedy już dziś dziecko niemal każde wie, że sławny feldmarszałek jest czechem z rodu, a nawet w miejscu rodzinnem postawiono mu pomnik.

C. d. n.

Listy z Krakowa.

I.

Jesień i pustki w mieście. — Kormanek, Żygliński. — Balicki. — Rogoziński. — Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Sprawozdanie i Sekretarz jego. — Istnieje litografia w Krakowie. — Cercha. — pomnik Jana Kochanowskiego. — Mylka archeologiczna.

(Ciąg dalszy).

Oprócz powyżej wymienionych wydała jeszcze litografia następujące większe ryciny:

Pukalski, bisk. Tarnowski z obrazu Maulitza. rys. i na kam. rob. Cercha.

Józafat Koncewicz, z starego obrazu rys. na kam. i rob. Cercha. *Widok Częstochowy* z natury. *Plan mającego się odbudować kościoła* XX. Franciszkanów. Rysował Księżarski. Na kam. A Czarnecki. *Kościół wizytek* (z natury.) *Kościół Marków* w Krakowie. Z nat. rys. Cercha. Na kam. Kormanek. *Błog. Grzymisława* Xka ruska. Z pomnika rys. i na kam. rob. Cercha. *Trzy mazurki*, Polaczka na kam. Czarnecki.

Scena wiejska ze wsi Krowodrza pod Krak. komponował i na kam. robił Leopolski.

Skórkowski, bisk. kopjował i na kam. Cercha. *Widok Tyńca* pod Krakowem, z obrazu Głowackiego, na kam. rob. Cercha. *Św. Piotr i św. Marja* z obrazu Hejdelowa na kam. rob. Cercha. *Widok Krakowa* od Krzemionek. Rys. z natury i na kam. robił Szczerbowski. *Tenże widok* od wsi Bronowic z obrazu A. Płończyńskiego.

Prócz tych głównych prac mnóstwo jest jeszcze w różnych rękach mniejszych portretów, widoków, odbić starych facsimiliów — tablic do dzieł naukowych etc.

Imie Cerchy mało znane dotąd, a dziś egzystencyi jego nawet zaprzeczono. Nic to dziwnego, zazwyczaj tak się dzieje z ludźmi, którym brak umiejętności własnej chwalby, *) próżności, którzy sami o sobie głosić nie umieją, lecz którzy w zakącie nieraz, skromni, z całą miłością pracują, zbierają wszystko co warte, a którym wystarcza wewnętrzne przekonanie, że pracują z pożytkiem dla ludzi, dla kraju, dla sztuki, a nie dla materjalnych z tejże korzyści.

I tak co rok widzieć można, jak młody nasz litograf na góralskim wózku jedzie w Tatry, rysuje, zbiera widoki, szkicuje charakterystyczne obrazki ludu tamtejszego, zwyczajów jego i z uzupełnioną teką wraca po dwóch miesiącach, które są wakacjami dla niego, a których tak pięknie używa; przez rok zaś cały siedząc w Krakowie, spotykamy go nieraz, jak zbiera co ważniejsze zabytki, ocala resztki popalonych świątyń, na papier je przenosząc. To też zobaczysz w jego tece nie jedno, co dziś już nie istnieje lub co przemianie uległo.

Piękne to, bezinteresowne poświęcenie, szczere zamiłowanie, a które raczej podniecać, a nie zrażać — pomijać się należy!

Nie myśl ubliżenia sekretarzowi towarzystwa, (który nawet wydawszy illustrowane książki jak *Kalwarja Zebrzydowska, Historya pożaru m. Krakowa*, różne broszury, szereg obrazów świętych, dowiódł, że umie protegować te litografie, o których istnieniu dziś zapomina,) nie zamiar potępiania czynności tegoż towarzystwa, nie chęć zaczepki z kim bądź, żadna choćby najmniejsza osobistość pod jakim bądź względem powodowała piórem mojem w tej sprawie, lecz prawdziwe ocenienie istotnej zasługi, dobrej chęci, pragnienie przyniesienia pomocy tymże, większa miłość do wszystkiego co swojskie niż obce wreszcie, kierowało niem jedynie, i dla tego też, *tylko z tego stanowiska* na skreślone wyrazy zapatrywać się należy. Tem bardziej, wracając do Cerchy, że Feuilletonista *Czasu*, ten surowy recenzent wystawy, tylokrotne dał mu pochwały.

Przed kilkunastu dniami odsłoniono w świeżo restaurowanym po spaleniu kościele Franciszkanów, pomnik dla Jana Kochanowskiego, poety 16. wieku. Styl pomnika z czerwonego marmuru i kamienia Pińczowskiego wykonanego, zupełnie ten wiek przypomina. W guście Renaissance, naśladuje budowę kaplicy Zygmuntowskiej w kaderze naszej, i jest dziełem ze wszech miar na uwagę zasługującem. Czysto wykończona harmonja w całości przebija się szczególnie. Przez zimę ma być jeszcze wykonane popiersie tego poety w alabastrze lub Carara, przez autora pomnika p. *Edw. Stechlika*, Krakowianina. Pomnik ten staraniem głównie *Fr. Wężyka* na ścianie bocznej kościoła umieszczony, odpowiada symetrją i stylem swym na przeciwnej ścianie będącemu pomnikowi, brata poety, *Piatra Kochanowskiego*.

Mówiąc o kościele Franciszkanów, możemy sprostować pomyłkę, która do dzieł poważnych się wkradłszy, nie jednego w błąd wprowadziła.

W r. 1840. księgarz krakowski Fusiecki wydał litografią obrazu w tymże kościele w kaplicy Matki Boskiej beleśnej zawieszonego, podając, że jest *wielce starożytnym na desce ze złoconem tłem, niewiadomego oznaczenia*. Zanim podano przerys tej litografii, i podobnie błędny opis,

*) Bo tak daleko jest jego skromność posunięta, że uwierzyć temu trudno. — Uzyskanie powyższego spisu z największą było połączone mozołą, i aż podstępu użyć trzeba było, nim go nam Cercha wręczył.

nie widząc pewno obrazu, jako list z Krakowa literami J. Ł. oznaczony, w 26. nr. Przyj. Ludu 1844. Z obu tych źródeł p. M. *Sobieszczański* w swych *uiadomościach o sztukach pięknych w Polsce* T. I. str. 247. policzył ów obraz do najstarożytniejszych w Polsce.

Oglądaliśmy go umyślnie i przekonali najdokładniej, że nie deska, ale prosta, jedwabna gruba mora, przez połowę zszywana, deseniem doskonale fladry drzewa naśladująca, tyle ludzi zwiodła. Ramy drewniane, złocone z obu stron. Na jednej stronie klęcząca niewiasta modli się, a nad nią w górze w rogu obrazu ukazuje się Matka Boska, mieczem przeszyta. Na drugiej zaś następne wyrazy, wielkiemi drukowanemi literami, historją obrazu objaśniające, napisane.

D. O. M.

„Zacnie urodzona Jejmość pani Katarzyna z Wielżyna Zarczyńska, która przeżywszy lat 56 pobożnie y świątobliwie na tym miejscu nawiedzona od Boga chorobą dnia 5. Października ducha oddawszy, r. pańs. 1625 na tymże odpoczywa. Przyczynę wielką dawszy miłym synom swoim, przyjaciołom i ubogim sierotom, przeciwko którym zawsze hojną była, do żalu y wielkiego płaczu, dla czego żałośny syn Jeg. Mość pan Jan Zarczyński z Żarcina z miłości przeciwko rodzicielce swojej na niezapominanie wszystkim, których miłośc była, gdy żyła, aby duszę jej nie zapominali, ten nagrobek zawiesić dał.

a

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Po konsekracyi nastąpił akt weselny p. Sołłohuba marszałka duchownego z panną Ogińską, starościanką dorsuniską, pasierbicą pana Sapiehy, kasztelana trockiego, i także wyraźna kompania była na tem weselu na którym, że się jeszcze nie rozjechała, ustawiczne były kolacye, bale, assamble, na które uwalniali mnie księża Pijarowie za obligacyą braci moich, abym nabierał prezencyi i znajomości. Między krwawemi akcyami najsmutniejsza była Franciszka Bujnickiego, starosty dudzkiego, który wdawszy się w debosze i nabrawszy złych obyczajów, odważył się niepraktykowany popełnić kryminał: zabił bowiem ojca własnego. Był srodze exekwowany: targano mu rozpalonemi kleszczami piersi, potem żywo ćwiertowano. Sam Bujnicki prosił kata, aby go bardziej męczył, chcąc odpokutować na tym świecie za tak szkaradny grzech.

Na początku roku 1738 przed zapusty, pierwszy dyalog księża Pijarowi wyprawić usiłowali: reprezentować mieli otchłań, i żądanie wiernych przyjścia Messyasza. Dość, rzeczy były dysponowane, ja miałem pryncypalną personę; a jako to był u nich pierwszy dyalog, tak mnóstwo się ludzi nań zeszło.

Po prologu wyszło intermedium. Myśmy się gotowali na pierwszą scenę i usiadł każdy aktor na swoje miejsce, a ja usiadłem na środku; wtem intermedyalista, niejakiś Armacki, gdy te wymówił słowa: „Pokażę wam sztukę, jakiej jeszcze niewidzieliście..“ tegoż momentu wymknęły się belki z muru, i całe zgromadzenie spadło na dół z drugiego piętra.

Teatrum nasze wpół rozłomało się, aktorowi jedni pospadali, drudzy, którzy mi po lewej ręce byli, jakoż kolwiek utrzymali się, bo pod teatrem jedne końce belek wymknęły się z muru. Ja jako siedzący na środku, bliski byłem spadnięcia; przecież prędkom się porwał i uskoczyłem na stronę, choć słabo trzymającą się. Krzesło moje spadło i korona z głowy na dół poleciała. Te zaś miejsca, gdzie siedzieli i stali spektatorowie, że był wielki ciężar, ze wszystkiem upadły, bo się belki z obu końców wymknęły, i wszyscy ludzie tak dystyngowani jako i pospólstwo oparło się na dole.

Co tam była za scena widzieć gromadę ludzi, tysiąca liczbę dochodzącą, jednego na drugim leżacych jak pszenica z kąkolem, bo tam się wszyscy razem pomieszali: księża, panowie, panie, pospólstwo, krzyk nie skomparowany, nam z góry patrzącym dziwowisko niewypowiedziane. Najtrafniej była rzecz patrzać na chłopców, którzy byli powłazili na okna, i tam po spadnięciu ludzi zostali się: zrazu płakali i drzeli od strachu, nakoniec odważywszy się skakać na dół, dogadzali nogami swemi ludziom już leżącym na dole. Straszna to i śmieszna była tragedya, gdyż ludzi jedni rozumieli że to nie przypadek, ale sztuka dyalogu; drudzy wołali przekleństwo, mając sobie potłuczone głowy, powykręcane ręce i połomane nogi. Przecież Pan Bóg dał, że w tak wielkiem zgromadzeniu, nikt się na śmierć nie zabił; umarł tylko pan Micewicz, Wołkomierzanin, ze złamania tam nogi, i niejakaś mieszczanka, nie było jednak nikogo z senatorów na tym dyalogu, ale zacnych ludzi było niemało, insi zaś na szczęście swoje opóźnili się.

Tegoż roku umarł Kazimierz Sapieha, generał artyleryi litewskiej, brat rodzony księdza koadjutora, w Schowie, mając sobie podpisane województwo podlaskie po Michale Sapieże, co mu zapisał Wysokie i Siemiatycze; którego ksiądz koadjutor tak żałował, że i zdrowie stracił i nie miał go do śmierci. O generalstwo starając się, jeździł pan starosta gułbiński do Drezna, i brał z sobą pana starostę mścisławskiego; ale król oddał generalstwo Flemingowi. Brat mój powróciwszy z Drezna, że był rok sejmowy, będąc natenczas krajczym mścisławskim, które wziął po postąpieniu Frąckiewicza na wójtostwo, jechał na sejmiki antekomisialne przed samemi wakacyami, gdym już kończył pierwszy rok retoryki: wziął mię więc z sobą. Wtenczas pierwszy raz po wyjechaniu z domu do Królewca prezen-

towałem się matce mojej, która mnie niepoznała, bom już znacznie podrósł.

Stanął posłem Imć pan Ilinicz, stolnik mścisławski z panem Szpilowskim. Gdyśmy zatem powrócili do Wilna, bracia moi pojechali z księdzem koadjutorem do Warszawy na sejm. Jam się został w Wilnie u księży Pijarów z panem łowczycem Święcickim, teraźniejszym rotmistrzem mścisławskim, bratem rodzonym księdza kanonika; ale wkrótce przysłano po nas, abyśmy jechali do Warszawy. Przebyliśmy więc tę podróż konno, bardzo ukontentowani z ciekawości widzieć stany rzeczypospolitej na sejm zgromadzone.

Obaczyłem tam pierwszy raz króla Augusta III, który był pan pobożny, cnotliwy, wspaniały, wzrostu wysokiego, że trudno mu było dobrać równego; pleczysty według proporcyi wzrostu, otyły, twarzy ogromnej z biała czerwonej; włosy miał ryżowate, brwi nawieszone, ręce zaś podług urody przykrótkie: jednem słowem człek maestuosus, i prawie z osoby zdał się do tronu urodzić, lecz że nieco był pan leniwy, spuszczał się w interesach na swoich ministrów, których miał dwóch: Sółkowskiego i Brüla. Sółkowski że się sprzeciwiał królowej i ostro się z królem obchodził, został oddalony; graf zaś Brül wszystkiem rządził aż do śmierci królewskiej.

C. d. n.

Rozmaitość.

* Chłopek nasz jest bardzo sprytny, mimo że przyjętą jest powszechnie rzeczą zarzucać mu głupotę, ale spryt jego jest, rzecby można, tak kręty i skryty, jak jest niepewne i zależne jego stanowisko, a ztąd skryte wypływa usposobienie. Jest to spryt, z którego powstało zapewne znane u nas nazwanie *humańskiego durnia*, który to niby czterech zliczyć nie może, a najmędrszego wywiedzie w pole swym chłopskim rozumem.

Nie wdając się w dalsze definicje, przytoczymy tu dwa prawdziwe wypadki, nie dawno zdarzone.

Na Podolu niedaleko Dniestru mieszka pan W. zacny obywatel i dobry pan dla sług i chłopków, którym pomaga o ile może, radą i pomocą. Jest on lekarzem praktycznym, znanym z tego w okolicy, leczy nieraz sąsiadów, a osobliwie biednych wieśniaków.

Razu jednego szedł na polowanie, którego jest wielkim lubownikiem, Po drodze wezwano go do jednej chaty wieśniaczej, w której gospodyni sama zaniemogła. Rzeczywiście zastał ją bardzo chorą; trzeba było ratunku nagłego.

— Słuchaj Iwanie, rzekł do męża, ja ci dam receptę do apteki, biegaj do miasteczka i dawaj żonie lekarstwo regularnie, bo inaczej źle będzie.

Jakoż co prędzej napisał receptę, a widząc, że Iwan nie bardzo zamożny, napisał na recepcie, by lekarstwo na jego własny rachunek wydanem zostało.

Iwan pobiegł, przyniósł lekarstwo, i wedle przepisu pańskiego zadał żonie. Lecz ciągle był zamyślony i mocno skrobał się w głowę; snać coś ma bardzo na myśli. Nagle skoczył z miejsca i co tchu poleciał do dworu. Pana niebyło jeszcze z polowania, więc Iwan do samej pani.

— Proszę Imości, zagaił sprawę, mnie się należy ryński.

— Za co, mój kochany?

— Bo jegomość posłali mnie do Buczacza, a Imość wiedzą, że za posyłkę do Buczacza należy się ryński.

— Ale czegoż cię pan posyłał?

— Jegomość napisali jakąś kartkę, musiałem aż do Icka areudarza biegać za papierem i piórem.

Pani uwierzyła i zapłaciła Iwanowi. Łatwo pojąć jakie było zadziwienie pana W., gdy wróciwszy wieczorem z polowania dowiedział się o tem od żony. Nie wiedział sam, czy więcej gniewać czy śmiać się ma. Przywoławszy Iwana do siebie, zaczął go wypytywać o powody takiego postępku. Rad był, wiedzieć jak się wytłumaczy?

— Ta proszę jegomości; jużciż ja nie mogłem dnia darmo tracić...

W innem miejscu znowu jechał chłop do miasteczka, z jakiemś zleceniem od dziedzica, który mu kilkakrotnie powtarzał, by się długo nie bawił. Na drodze zdybuje babę, idącą z zawiniątkiem ku miasteczku także.

— A nie wzięlibyście i mnie z sobą?.... zagadła baba.

Targ w targ, chłopek wziął babę na furę za kilka dudków walutowych. Gdy przyjechali do miasteczka, baba wylazła i prosiła chłopka, by poczekał na nią, bo ona niema pieniędzy, a dla pewności zostawia swoje zawiniątko. Chłopek przystał, i spełniwszy dane sobie zlecenie, czeka na ulicy. Mija kwadrans, pół godziny, ba i godzina, a baby jak niema tak niema,

— Co tu robić? medytuje chłop; do domu czas, pan się będzie gniewał, a i kilku dutków przyrzeczonych przez babę szkoda.

W skutek medytacyi zajrzał do zawiniątka, bo przecież trzeba było zobaczyć czy wart co zastaw; zajrzał i cofnął się przerażony. W zawiniątku leżało małe dziecko spiące.

Aż się za baranią czapkę porwał, aż mu pot wystąpił na czoło, tak się zastraszył i zadumał chłopek.

— Baba nie wróci! dumał sobie, to już pewna. Ale co z tem dzieckiem zrobić?.

Gubić go niechciał, ale i brać ten ciężar do domu nie miał ochoty.

Jakże się zdecydował? to pytanie które jak rozwiązał żaden z czytelników naszych nie zgadnie.

— Wielka sztuka, nie jeden powie, podrzuci komu drugiemu albo odda na policją. Podrzucić drugiemu to myśl nadto prosta: mandataryatu zaś każdy chłopek boi się gorzej ognia, bo to i czasu strata, i często zarobek szturkańców. Nasz chłopek zupełnie innej ujął się myśli. Obejrzał się wkoło siebie. Ulica była ludna dosyć, przechodzili tamtędy i żydzi i chłopi, bo o parę kroków dalej była targowica. A więc zlazłszy z wozu, skrył się przemyślny chłopek za drzwi kamieniczne, i czeka w cichości. Jaki taki przechodzi koło wozu, i widzi że niema żywej duszy, aż się znalazł jeden, który oglądnąwszy się ukradkiem, porwał za zawiniątko niepilnowane i dalejże z nim w nogi. Chłopek tego tylko chciał, to właśnie swym rozumem chłopskim wykoncepował, że mu ten ciężar narzucony w mieście odkradną. To też nie czekając ani chwili dłużej, wskoczył do wozu nazad, i cwałem uciekł z miasteczka, nie oglądając się nawet za siebie.

* Przybył do Lwowa nauczyciel tańców, p. Kornel Kawecki. Jestto jeden z najzdolniejszych tancmistrzów polskich. Bawił on dawniej dłuższy czas za granicą. W Wiedniu i w Warszawie słynął z doskonałej metody w nauce tańców popisowych i salonowych. Obecnie dla stosunków familijnych osiąść zamyśla we Lwowie i otworzyć szkołę tańców.

* Nowego rodzaju oszuści pojawili się we Lwowie. Chodzą od kamienicy do kamienicy, udają się za grobarzów, i gdzie tylko dopytać się mogą krewnych zmarłych osób, tam zaczynają opowiadać

o zapadnięciu się grobu, o waleniu się pomnika nad nieboszczykiem. Ofiarują natychmiast swą pomoc, lub oświadczają nawet, iż naprawę uskutecznili. Tym sposobem wyłudzają po kilka reńskich nagrody.

* W kaplicy Matki Boskiej, w katedrze naszej jest umieszczona skarbonka na składki dobroczynne dla sierot pozostałych po rodzicach, zmarłych na cholerę. Pieniądze te obracane są na wychowanie tych sierot.

Przyjechali od dnia 1. do 3. Października do Lwowa.

PP. JEx. Dossen, c. k. feldmarszałek-porucznik z Przemyśla. Hr. Bąkowska Ludwika, z Szlachciniec. P. Ripp, z Przemyśla Zawadzcy Piotr i Antoni, z Krakowa. Grocholski Kazimierz, z Krakowa. Romaszkan Zygmunt, z Uherska. Ujejski Bronisław, z Lubszy. Semkowicz Alexander, ze Sambora. Małecki Kajetan, z Skomoroch. Smarzewski Alexander, z Brodów.

PP. Hr. Karnicka Teofila, z Krakowa. Hr. Badeni Alexander, z Glinian. Kozłowski Mikołaj, z Stanisławowa. Domaradzki Seweryn z Stanimirza. Skolimowski Julian, z Dynisk. Zgazdziński Konstanty, z Sosnowa. Krzysztofowicz Zacharyasz, z Trybuchowiec. Jan Zachariasiewicz z Iwończa.

Wyjechali od dnia 1. do 3. Października ze Lwowa.

PP. Hr. Komorowski Adam, do Żółkwi. Hr. Siemiński Wilhelm, do Kopeczyniec. Hr. Stadnicki Alexander do Przemyślan. Czermiński Stanisław, do Żółkwi. Obertyński Henryk, do Żółkwi. Sochocki Antoni, do Choronowa. Siemianowski Franciszek, do Siemiginowa. Lityński Wenant, do Litwinowa.

PP. Hr. Komorowski Franciszek, do Żółkwi. Hr. Salis, do Krakowa. Zawadzki Ignacy, do Hut. Brześciańscy Sylwester i Bronisław, do Rustweczka. Gumowski Wiktor, do Bereznik. Małecki Alexander do Halicza.

Kurs telegrafowany z Wiednia 2. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	$74\frac{3}{4}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	83	Akcye banku	$1053\frac{3}{4}$
Londyn za 1 funt szterl.,	11 3 1	Kolej północna	2043
Medyolan za 300 lirów	$111\frac{7}{8}$	Obl. ind.	$65\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	132	Nowa pożyczka z loterya	$96\frac{7}{8}$
Agio duk. ces.	$18\frac{3}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$78\frac{7}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr. 16	złr.	5	kr	20
Dukat cesarski	«	5	» 21	»	5	»	24
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	« 5	»	9	»	9
Rubel srebrny rosyjski	»	1	« 45	«	1	»	46
Talar pruski	»	1	« 40	»	1	«	24
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	« 15	»	1	»	46
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	91	« 30		91	»	54
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		6	» 03	»	66	«	15
5 proc. pożyczka narodowa		78	» 20	»	79	»	—

Lwów, 2. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 38 złr. 45 kr. do 42 złr. 30 kr. — Żyta po — złr. — kr. do 29 złr. 30 kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 16 złr. 15 kr. do 23 złr. 50 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. 30 kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 10 złr. 30 kr do 11 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 46 złr. 15 kr. do — złr — kr. Sosnowego po 38 złr. 7 kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. $35\frac{1}{2}$ kr. do 3 złr. $15\frac{1}{4}$ kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 3 złr. $20\frac{1}{2}$ kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. $27\frac{1}{2}$ kr. w. w.

Sława, którą sobie wielmożny pan Franciszek Medwej właściciel dóbr w mojem sąsiedztwie przez użycie wody jako jedynego lekarstwa, na wzór nowszych zaszczytnie znanych hydropatów zjednał, tudzież własne moje przekonanie o skuteczności tejże kuracyi, spowodowały mnie w chorobach, na które ja i moja familia, zapadliśmy szukać u Niego pomocnej porady. Wżny Franciszek Medwej oddający się tej szczytnej gałęzi naukowej z bezprzykładnem poświęceniem, leczył na wezwanie moje moją żonę na zapalenie błony piersiowej, mnie na cholerynę a mego dwuletniego syna, na febrę gastryczną i na dysenteryę krwawą. Wszystkie te choroby pokonał radykalnie i w krótkim czasie.

Za to szlachetne bezinteresowne postępowanie mam sobie za największy obowiązek złożyć Mu publicznie moje podziękowanie

Franciszek Herlth
wł. dóbr ziemskich w obwodzie Samborskim.

(174 2—3).

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Zdrukarni **E. Winiarza.**